№ 18. Warszawa, dnia 22 Kwietnia (4 Maja) 1878 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Tom trzeci.

Pozytywizm Warszawski.

Rozdział XX.

Na chwilkę przerwać musimy dalsze opowiadanie losów rodziny Mikłockich, ale wrócimy do niej jeszcze, bo z tak godną osobą jak pani Mikłocka, bez pewnej formy, przestrzeganej zapewne i u jej wuja, rozstawać się nie wypada. Zapoznamy się za to z innymi ludźmi, którzy jakkolwiek nie są latoroślą wyrosłą z pokładów duchowych społeczności Warszawskiej, są jednak jej naroślą, jak brodawki i guzy różnej wielkości powstające na ciele ludzkiem, które chirurgia usuwa gdy zbyt niewygodne lub zanadto dokuczają.

Sceny, które opiszemy, odbywały się jednocześnie prawie z wypadkami dotąd opowiedzianemi; później łączą się z nimi i zlewają w jedną całość.

Bohaterowie występujący nie są przedstawicielami pozytywistów ale pozytywizmu warszawskiego, który przez ludzi nader mało umiejących, z metody służącej do poznawania prawdy, podniesiony do godności zasady filozoficznej, gwałtem pozuje na doskonałość.

Otóż w końcu sierpnia, wieczorem przed samym zachodem słońca, na Wiśle stały tratwy z drzewem pławionem do Gdańska. Na jednej za Skarbówką siedziało trzech orylów w wysokich czarnych kapeluszach. Pilnowali wieczerzy gotującej się w garnkach, i gdy jeden zbierał szumowiny, drugi podniecał ogień dmuchaniem, trzeci krajał słoninę na desce rzucając ją w małą na węglach stojącą rynkę. Głód widocznie dobrze im dokuczał, bo nic nie mówili nawet nie palili fajek, tak wszyscy trzej byli zajęci przygotowaniem jadła.

O kilka kroków na ostatnim klocu od wody, stał włościanin przeszło sześćdziesiątletni także ze stron krakowskich, w białej magierce, sukmanie i pasie szerokim prawie do piersi dochodzącym. Prosty jak topola, z rękami założonemi wpatrywał się w drugi brzeg Wisły na którym coraz wyżej piętrzyła się Warszawa. Słońce tylko co zaszło, gwar miejskiego ruchu to się wznosił to przyciszał, a on stał i patrzył nieruchomy, milczący jak wieże kościołów warszawskich w równej zdających się pogrążonych zadumie. Czasami ściągnęły mu się brwi, czoło okryło zmarszczkami, niekiedy ogorzałe lica zadrgały uśmiechem lub przebiegł po nich wyraz smutku i rzewności niezwykłej; raz nawet w oczach błysnęły niby iskierki... były to łzy które starzec pospiesznie otarł i coś szepnął niewyraźnie.

— Wojciechu, odezwał się jeden z orylów, co tam tak medytujecie. Chodźcie, bo już wieczerza gotowa.

— Bóg zapłać, nie mam chęci do jadła, odrzekł i nałożywszy fajkę przykucnął przy ognisku aby wziąć z niego węgielek.

— A cóżeście tak jakoś posmutnieli?

— Patrzę na tę syrenę, odrzekł starzec wskazując na Warszawę, co tak hurgocze jak grzmoty pod ziemią a przynęca i gubi jak te wiedźmy topielnice co je zowią syrenami. Oj! syrena to syrena!

— Mój Wojciechu, to syreny nie zmyślenie? Wiślą już drugi raz płynę z pod Krakowa aż do samego Gdańska a żadnej jeszcze nie widziałem. Czy one tylko w wodzie przebywają?

— Mój chłopcze, te co w wodzie już żadnej szkody nie wyrządzają i duszę oddały dyabłu a ciało rybom. Tych się strzeż, tych unikaj co tam w mieście przechadzają się po ulicach, co urodziwsze od najpiękniejszego kwiatka, zgrabniejsze od ptaszka, oczami patrzą niby gwiazdkami a uśmiechem niebo pokazują. To są syreny prawdziwe, i od nich chłopcze uciekaj jak od zarazy.

— Bogać ta uciekać mój Wojciechu, kiedy takie okaźne że aż się we wnętrzu człowieka cosić do nich uśmiecha.

— I ja tak mówiłem, tylko raz spojrzałem... wtedy byłem jak ty młokosem, a dziś jeszcze chociem stary serce we mnie kraje się bólem.

Starzec zwiesił głowę i po chwili mówił dalej:

— Kiedy dziedzic zażądał furmana do koni w Warszawie, ochotnie ruszyłem w świat daleki, bo zdało mi się, że w tak dużem mieście, do śmiechu jedna gęba nie wystarczy a i do patrzenia dwoje oczu będzie zamało. Byłem głupi, zwyczajnie jak młokos, śmiałem się też i patrzyłem jakby nic innego na świecie nie było do roboty, a kiedy przebrano mnie w liberyą, to myślałem że się z radości zagubię. Radość wprędce odeszła, bo nie zeszło roku kiedy mi w oczy wpadła warszawianka, składna, zgrabna, i jak zaczęła śmigać oczami i czarować, tak oczarowała, że myśl nią tylko zaprzątnąłem, w śnie ją tylko widziałem...

— I cóż się z nią stało Wojciechu? zapytał młodziak widząc że starzec znowu zamilkł i utonął w dumaniu.

— A cóż, miałem się z nią żenić, odrzekł Wojciech zapatrzony w ognisko. Liberya moja nie była jej wstrętną, choć atłasy i jedwabie świeciły na niej. Dziedzic dziwił się i odradzał, ludzie śmiali się i pokpiwali, wydziwiali na nią różne rzeczy i tak

mi zakotłowali głowę, że jej powiedziałem wszystko. Nie wyparła się i pamiętąm jak dzisiaj, że wzięła mnie za rękę i przez łzy w oczach spojrzawszy, rzekła: i ty mój Wojciechu nie jesteś bez grzechu, ale co było zapomnijmy i przyrzeczmy że tego nie będzie więcej. I stało się jak rzekła, zaklęła się na Matkę Boską i Jezusa ukrzyżowanego, jakże nie było uwierzyć? Uwierzyłem, podniosłem hardo głowę a na wyśmieszki ludzkie ściskałem pięść i groźbą zamykałem im usta. Powiedziałem wszystko dziedzicowi, wysłuchał z powolnością, a kiedy mu rzekłem, że mąż i żona od Boga przeznaczona i że może moje takie przeznaczenie aby duszę jedną od potępienia wybawić, przyrzekł od Ś-go Jana zrobić mnie w dobrach swoich ekonomem na oddzielnym folwarku, bo choć mało wiela ale zawsze człowiek coś złapał z nauki. Dałem więc na zapowiedzie...

— I cóż, ożeniliście się? zapytali słuchacze spoglądając na starca w zamyśleniu pykającego dymem z fajki.

— Porzuciłem, bo mnie zwiodła. Plunąłem jej w oczy... chciała mnie dalej czarować, ale czary ją opuściły, bo przeniewierzyła się Matce Boskiej i Chrystusowi, a ja na jej gadanie, na jej płacz, na jej zaklinania, na jej włóczenie się przy moich nogach plunąwszy po raz drugi, odtrąciłem od siebie.

— A to sprawiedliwie zrobiliście, należała się jej taka poniewierka. I cóż, spotkaliście się z nią potem?

— W trzy lata później, byłem znowu w Warszawie, ale już ożeniony i kiedy szedłem na Grzybów spotkała mnie i zaczepiła ale jej nie poznałem. Ubranie na niej było biedne, okrycie jakieś wytarte, sukienczyna wypłowiała a twarz taka wychudzona, że oczy zdały się jak dwa węgle świecące żarem ale i czarnością straszące. Wzdrygnąłem się a ona chwyciła mnie za rękę i rzekła: tegom tylko pragnęła od Boga, żebym cię raz jeszcze mogła zobaczyć, żebyś zdjął ze mnie tę wzgardę jaką mnie obrzuciłeś. Widzisz tę nędzę w ubraniu mojem i na twarzy? To poczciwość mi ją dała. Warszawa złych bogaci, a jak chcą poprawy to ich karmi głodem i nędzą. Chodź, chodź ze mną, rozgadamy się o wszystkiem, dowiesz się com z kochania dla ciebie wycierpiała, jakem zmywała z twarzy twój gniew sprawiedliwy, a może mi przebaczysz, może mnie znowu ukochasz... Kobieto! przerwałem, odczep się ode mnie, jam już żonaty... Zwodzisz mnie Wojtusiu! zawołała załamując ręce i potem ze drżeniem wpatrując się we mnie, rzekła z wielką gwałtownością: wszak prawda, że mnie zwodzisz? Nie! odrzekłem, żonaty jestem od pół roku. Biedna kobieta wpatrzyła się we mnie, krew jej uderzyła do głowy, zaczerwieniła się jak piwonia i krzyknąwszy przeraźliwie padła na ziemię jak nieżywa.

Młodzi orylowie z trwogą spojrzeli na Wojciecha, a ten pykając z cybucha choć ogień w fajce dawno przygasł, milczał zadumany i dopiero po chwili odezwał się:

— W kilka dni później lokaj dworski dał mi gazetę a w niej wyczytałem, że Maryanna Kijanka, a była to ona, uciekła ze szpitala jako waryatka i utopiła się w Wiśle.

— Utopiła! powtórzyli z przerażeniem młodzi i trwożnie spojrzeli, na fale rzeki co się z pluskiem rozbijała o brzegi tratwy.

— Widziałem ją po śmierci, odezwał się po chwili Wojciech, potem dałem na nabożeństwo... W sumieniu mojem jestem czysty, ale wiele razy spojrzę na Wisłę jak się pluskocze i bałwani, zdaje mi się zawsze, że widzę z pod wody wychylającą się głowę tej nieszczęśliwej i że mnie straszy swoją trupią bladością.

Młodzi mimowoli przysunęli się do siebie, a Wojciech położywszy świeży węgielek na przygaszonej fajce, już się zwrócił od ogniska, gdy nagle w wodzie blizko tratwy, odezwał się plusk i jakby sapanie wydobywające się z ciężko oddychającej piersi.

— Jasiek, odezwał się jeden z orylów przestraszonym głosem, to chyba topielnica ku nam podpływa.

Oryle z wytężonem spojrzeniem a w części z zabobonnym przestrachem, przyglądali się fali rzecznej okrytej mrokiem wieczornym, po której wyraźnie coś się ku nim bałwaniło. Wkrótce pokazał się jakiś przedmiot czarny, niby ptak unoszący się nad wodą, wreszcie wychyliła się ludzka głowa z wąsami i bródką od człowieka, co nogami dostał gruntu i idzie ku tratwie pasując się z prądem wody.

— To syrena pędzi wodą! zawołał jeden z orylów chwytając wiosło.

— Dziabnij ją żelazem! dodał drugi i wyrywając wiosło z rąk towarzysza, uderzył niem prosto w idącego. Na szczęście napadnięty miał się na baczeniu; usunął się spiesznie i wiosło przemknęło się bez szkody tuż koło ramienia. Był to znajomy nam już Stanisław; rozgniewany na tak niespodziewaną napaść wrzasnął z gniewem:

— A ty rozbójniku, gdybyś mnie był skaleczył tobym ci kark skręcił i utopił. Ale i tak ci tego nie daruję, poczekaj!

Oryle spojrzeli po sobie zdziwieni, a gdy Stanisław ciągle mruczał probując wskoczyć na tratwę, jeden z nich rzekł rzucając wiosło:

— Schować odgróżki dla siebie. Na tratwie to nasze prawo nie warszawskie, a nasze prawo powiada, że kto po ciemności pod tratwę się podsuwa to złodziej.

— Nie wiem cobym ci ukradł? Może twój kapelusz jak gniazdo wróble? A złodziejami nie szastaj, bo jak ja cię szustnę pięścią, to się przykryjesz nogami.

— Iść w swoją stronę, iść, odparł obrażony oryl ujmując na nowo za wiosło, bo jakeś zgubił drogę, to ci ją pokażę. Puścić się zaraz tratwy!

Oryl zamierzył się, Stanisław usunął ręce pospiesznie, lunął strumieniem wody na zuchwałego oryla i korzystając z chwili wskoczył na tratwę. Z pewnością przyszłoby do jakiej burdy, ale Wojciech przybliżył się, skinął na gniewną młodzież i stając przed nią zapytał:

— A co pan ma za interes na naszej tratwie?

— Naturalnie że mam interes skoro podpłynąłem do was, odrzekł Stanisław ściśniętą pięść wyciągając ku orylom.

— Ale się też ustroił jak na święto, odezwali się parobczaki.

— Cicho chłopcy, cicho! rzekł Wojciech i zwrócony do Stanisława mówił dalej: kiedy po interesie to niech pan powie, a może mu jako poradzę.

— Powiem wam poczciwy orylu, bo mówicie do mnie jak człowiek, nie tak jak te świszczypały co najprzód wyrzekli: dziabnij go i o mało nie okaleczyli. Dałbym ja ci żebyś był mnie dziabnął!

— Patrzcie jaki rozdawny, odrzekł jeden z oryli z szyderstwem, gdy drudzy śmiechem mu wtórowali. Ale my nie nauczni brać coś darmo i za raz dwa oddajemy.

— Cicho chłopcy! z niecierpliwością zawołał Wojciech, a pan zamiast przekamarzać się niech lepiej powie o interesie, bo z tem młodziarstwem nie dojdzie ładu.

— Macie słuszność orylu, niech ich sęk przebodzie, a teraz powiedzcie mi, czy na waszych tratwach nie znajduje się pan Jan Orzelski...?

— A! pan Jan, jest na drugiej tratwie.

— Jest, zaprowadźcie mnie do niego, już trzeci dzień wyglądam jego przybycia.

— Ej, pan nie nauczny chodzić po tratwie, to przy zmroku może być jaki wypadek. Józek poskocz do pana Jana...

Józek zapominając o zwadzie pobiegł żwawo a Wojciech zapytał:

— Czy pan z Warszawy?

— Naturalnie że nie z Ryczywoła. Kąpałem się na galarach, a że łódki nie było na podorędziu podpłynąłem ku wam.

— A jak się pan nazywa? zapytał Wojciech, gdy młodzi patrząc na przybylca, chichotali skrycie nazywając syreną w Wiśle na wędkę złapaną.

— Nazywam się jak pan Jan tylko mi Stanisław, ale zawsze Orzelski.

— To krewniak jaki zapewne?

— Podobno jakiś brat czy siostrzeniec, ale mniejsza o to. Krewieństwo to głupstwo...

— Ej! nie panie, familia to wiele znaczy.

— Jak bogata, ale po mojej nic nie zostało, niech ją rejment weźmie!

— To źle panie, odrzekł Wojciech potrząsając głową. Dusze zmarłe obrzucać przekleństwem to wielki grzech.

— Owszem, zasługa orylu, bo jeżeli słyszą to niech się okupią i dadzą jaką wioskę. Przecież Orzelska była córką czy tam kochanką króla i w bogactwie prawie się pławiła, a to babka czy prababka moja, to mogła i sukcesorom coś zostawić. Ale gdzie tam wszystko dyabli wzięli i z nią razem.

— Ej! panie, miej Boga na pamięci, tak się nie godzi gadać.

— Bajda jesteście orylu...

— To być może, przerwał Wojciech, ale u nas na wsi to inny obyczaj.

— Boście prostactwo.

— Niech i tak będzie, poczciwsze jednak nasze prostactwo jak rozum co zmarłym przymawia i chlubi się bogactwem babki czy prababki w niepoczciwości zebranem. U nas panie takie psotnice to tylko cichaczem się wymawia i to z musu, a modlimy się za duszę tych co nas poprzedzili. Nazywamy ich też ojcami a rolę co po nich została ojcowizną...

— Co mi taka ojcowizna, przerwał Stanisław, gdy w niej obcy siedzi i sam zjada co na niej wyrośnie.

— Oj! panie wiele znaczy, tam w każdej grudce ziemi tyle życia naszych ojców, ich weselenia się, płaczu i modlitwy, że zdaje się iż tylko przyłożyć ucho a wszystko to człek usłyszy na nowo, jakby nie zamarło.

— Pięknie mówicie mój orylu i bardzo mnie zajmujecie. Mówcie dalej, słuchając was nie tak się nudzę czekając na Jana.

— Czy pięknie mówię, nie wiem, odezwał się Wojciech wzdychając, ale mówię to co mam w sercu. Jak z rolą tąk i ze cmentarzem; w roli szanujemy pracę naszych ojców, na cmentarzu ich prochy. Rola nas żywi, cmentarz krzepi, rola daje chleb, cmentarz uspokojenie w zmartwieniu. W roli praca idzie na pracę, z ojców na dzieci, jakże jej nie kochać? W cmentarzu na prochy ojców idą prochy synów, jakże go nie szanować. Złe to dziecko co nie szanuje siwej głowy i z ojców i dziadów przedrwiwa. Rola i cmentarz to ś. p. nasz dziedzic mówił, że są jak korzenie i liście co ciągną dla drzewa pożywienie. Obetnij korzenie a pozrywaj liście to drzewo uschnie; wyrzuć z serca ludzkiego poszanowanie tego co powinien kochać a człek przepadnie. U nas takich ludzi co do miejsca swego nie mają ani nawyknienia ani poszanowania, nazywają obieżyświatami albo zatraceńcami, a z takich nie ma żadnej pociechy.

— Ale wiesz co mój orylu, odezwał się Stanisław zdziwiony słowami przez starca z pewnem wzruszeniem wymówionemi, że tak pięknie dowodzicie jakbyście przeszli szkoły.

— Było się w szkółce i potem niejedno się przeczytało i usłyszało przy paniczach od nauczyciela, ale to mało znaczy, bo do tego co rzekłem nie trzeba rozumu tylko miłości Boga i ludzi...

— I dukacików prawdziwych holenderskich, dołożył Stanisław.

— No, bez pieniędzy zapewne że trudno radzić, ale bez poczciwości pieniądz nic nie znaczy.

— Albo to prawda! Dukat to największy w świecie mocarz, upadłych podnosi, podniesionych zniża, cnotę łamie, grzech szlachci i wszystkim gnie karki nosem do ziemi. Tak mój bracie, gdybyś miał dukaty w kieszeni nie płynąłbyś tratwą ale jechał karetą złocistą...

— Gdybym miał dukaty, przerwał Wojciech, to takim jak pan gadułom kazałbym języki poucinać...

— A ja tobie klepkę w głowę wprawić.

— Taka mowa, mówił dalej Wojciech nie zważając na przerwę, taka mowa to trucizna. Jak liść zeschły idzie za wiatrem tak człek chciwy grosza pójdzie za pieniądzem wszędzie, choćby w przepaść, choćby przekleństwo ludzkie ogłuszało go, strumienie łez zatapiały, i ludzka nędza rwała serce jak wicher zboże na garściach leżące.

— A cóżby w tem złego było? zapytał Stanisław z szyderczym uśmiechem.

— Czy pan nie ma sumienia w duszy? A zbawienie...

— Kocham cię orylu, zawołał Stanisław śmiejąc się; daj pyska, jesteś uosobieniem przesądu, ekstraktem zabobonu, robakiem pełzającym przy samej ziemi, którego lada szuja zgnieść może albo potrącić. Gdybyś wiedział to co ja wiem, poznałbyś gdzie głupstwo ludzkie a gdzie prawda. Bez tego byłeś, jesteś i będziesz popychany, szturchany, wyzyskiwany, a potem będziesz gnił zapomniany jak cię wrzucą w ziemię i przyklepią łopatą.

— Wola Boża! odrzekł Wojciech uchylając magierki z pobożnem westchnieniem. Ciało należy świętej ziemi a dusza Bogu.

(d. c. n.)

DZIECIĘ.

Dziecinko, dziecino,
Aniołku maleńki,
Czy jest co cudniejsze nad ciebie?
Czy barwy, co płyną
Z różowej jutrzenki,
Czy słonko, czy gwiazdka na niebie?

Czy motyl skrzydlaty,
Lub kwiatek z nad łączki,
Czy perła tam z morza głębiny?
Czy może dyament
U złotej obrączki,
Lub słowik z zielonej krzewiny?

Nie dziecię, tyś cudne
Nad wszystko na świecie,
Tyś kwiatkiem na łonie mateczki,
I ciepła ci trzeba
I trzeba ci wody,
Byś nie zwiądł jak inne kwiateczki.

Twój szczebiot podobny,
Słowika piosence,
Twój uśmiech wspomina aniołka,
Twej duszy tak ślicznie
W tej białej sukience,
O śliczniej od lilii, fijołka!

A oczki przezrocze,
Usteczka różowe
Kiedy się uśmiechną do matki,
I drobne rączęta
Okrążą jej głowę,
Jak wieńcem wykwitłe bławatki:

To cudny obrazek,
A taki przejrzysty,
Że zda się za święty dla ziemi,
Że zda się, ten mały,
Aniołek przejrzysty
Skrzydłami uleci białemi.

O nie leć aniołku,
Bo matka przy tobie,
Cóż matce bez ciebie na świecie?
O nie leć aniołku,
Pohujaj tu sobie
I życia zakosztuj też przecie.

Na życia kobiercu
Są kwiatki i głogi,
Są ciernie i wonne bławatki,
Więc jeśli ci zrywać
Chęć przyjdzie wśród drogi,
Wzrok obróć najpierwej do matki.

Mateczka zasłoni
Krzak głogów raniący,
Da w rączkę fijołek lub bratek,
Dla siebie zachowa
Ów bukiet raniący,
Dla swego dziecięcia sam kwiatek.

Marya Szuman.

WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów".)

Streszczone przez J. B.

(Dalszy ciąg).

Największe piwiarnie w Wiedniu są Dreher'a i Lisenmayer'a: mieszczą się w suterenach a ich kolumny i sklepienia nikną w obłokach dymu z fajek i z cygar. Jest w nich gorąco i duszno a z kuchni dolatują zaduszające odory. Goście zmieniają się co chwila; wchodzą wojskowi, wychodzą cywilni, sprzedający gazety wchodzi z paką wilgotnych jeszcze arkuszy pod pachą; kręcą się także kolporterzy broszur, romansów illustrowanych i różnych śpiewek obiegających od stołu do stołu. Dobre tu także robią interesa handlarze krawatów i papierowych kołnierzyków; wielu z obecnych zmienia na poczekaniu kołnierzyki, jakby się wybierali gdzie z wizytą. Włosi roznoszą na sprzedaż figurki gipsowe, przedstawiające już to wojowników z podniesioną w górę szablą, już to młode dziewczęta oskubujące stokrotki. Handlarze fotografii rozkładają przed gośćmi fotografie najpiękniejszych wiedeńskich aktorek, a obok tego wszystkiego słychać nieustający gwar rozmów, brzęk szklanek, talerzy noży i widelcy, nie przyzwyczajony wychodzi ztamtąd na wpół ogłuszony.

Oprócz kawiarni i piwiarni są jeszcze w Wiedniu winiarnie w niczem nie ustępujące piwnicom Hamburga i Bremy; piją w nich wino i zajadają „delikatesy" jako to: pasztety, ostrygi, kawior, ryby wędzone, szynki westfalskie, i t. p. przysmaki. Niektóre piwnice urządzone są w kształcie grot, jak np. Felsenkeller (skalista piwnica) przy ulicy Babenberger, gdzie można zająć pustelnię zupełnie oddzielną lub też zasiąść w ogólnej. W skałach Felsenkeller'u nie błyszczą dyamenty, ale za to ściany ich jaśnieją najsławniejszemi nazwiskami tegoczesnej epoki: jak Wiktora Hugo, Meyerbeer'a, Wagner'a, Augier'a, Aleksandra Dumas i. w. i.

— Czy widzisz to nazwisko wypisane po lewej stronie, u dołu pod sklepieniem? zapytał mnie raz przyjaciel z którym wieczerzałem w Felsenkeller.

— Tak, zdaje mi się Sardou, tylko że jemu nie Wiktor na imię.

— Wiem o tem, to też przypatrz się dobrze.

— Widzę że nazwisko Sardou jest jakby pomazane.

— Przypatrz się dobrze.

— Intrygujesz mnie, cóż tam takiego być może?

— Twoje nazwisko.

— Żartujesz, nie jestem przecie znakomitością.

— Zeskrobano trochę twoje nazwisko i zamieszczono w jego miejsce nazwisko Sardou, ponieważ zamieszkali w tej dzielnicy Prusacy, zapowiedzieli gospodarzowi, że noga żadnego z nich nie postanie w jego piwnicy dopokąd oczy ich razić będzie nazwisko tak im nienawistnego autora. Oto powód dla czego Sardou nosi tu imię Wiktor.

— Kochany przyjacielu, miejscu temu daleko większy przynosi zaszczyt nazwisko słynnego dramaturga niż moje, ale w każdym razie nie daruję tego Prusakom, gotów jestem za pierwszą bytnością w Berlinie, obalić ich kolumnę Zwycięztwa, odrzekłem śmiejąc się.

— Ach! nie czyńże tego, zawołał Wiedeńczyk, obalając tę kolumnę temsamem przyozdobiłbyś Berlin.

Z piwnic wiedeńskich najoryginalniejsza i najwięcej malownicza jest Esterhazy-Keller, otwarta codziennie od godziny jedenastej do pół do pierwszej. W tych ciemnych podziemiach nie ma ani stołów, ani krzeseł, ani nawet gazu. Pod ścianami stoją stare żatłuszczone ławki, a parę nędznych łojowych świeczek nie są w stanie rozproszyć ciemności w jakich przesuwają się niewyraźnie najróżnorodniejsze fizyonomie i typy. Tu jakiś urzędnik w wytartym mundurze, z krótkiemi rękawami z pod których wyglądają brudne mankiety; obiad jego składa się ze szklanki wina i zimnego kawałka mięsa, który przyniósł sobie zawinięty w papier; tam stoi kilku wojskowych zalecających się do dziewcząt. Tam nieco dalej siedzi starzec, chodzący szkielet, zawdzięczający winu ostatnią życia iskierkę; pełno jest także kobiet w szalach, w paltotach w kaftanikach, w czepkach, w kapeluszach, z gołemi głowami, młodych i starych, ładnych i brzydkich.

W głębi piwnicy jaśnieje nieco większe światło; to kantor który stanowi brudna, łojem powalana deska, oparta na dwóch beczkach; po za *tym stołem* siedzi na wyplatanem krześle, buchalter w czapce nasuniętej na czoło, w okularach w żelaznej oprawie; przed nim rozłożona księga rachunkowa, z prawej strony stoi kałamarz, z lewej szklanica wina, i chustka niekoniecznie czysta leżąca obok tabakierki. Kontroler ten odbiera pieniądze i zapisuje każdą sprzedaną szklankę. Dwóch chłopców w dłu-

gich fartuchach myje i napełnia szklanki. W ciemnej oddali widać dwa rzędy wypróżnionych beczek. Przed kantorem stoją tłumy składające się z najróżnorodniejszych jednostek; są tu pięknie strojni panowie, są różni cudzoziemcy, są ludzie w łachmanach, są oszuści i złodzieje. Przy drzwiach umieszczona tablica z napisem: „Pilnować kieszeni.“ Trzeba stać jeden za drugim i czekać zanim się dostanie lub odda szklankę, za którą płaci się przy odbieraniu. Dzieci przesuwają się pomiędzy nogami stojących aby prędzej im napełniono przyniesione butelki, pełno sług zamożnych domów stoi z koszami, niecierpliwie oczekując kolei. W piwnicach Esterhazych znajdują się tylko dwa gatunki wina, ale tak wyborne iżby je na królewskich stołach podawać można. Powietrze w tej piwnicy jest nadzwyczaj ciężkie i duszne, napojone wyziewami alkoholicznemi i wyziewami z odzieży zapoconej lub brudnej.

Austrya-Węgry wydają aż piętnaście gatunków wina; jest ich wielka obfitość, to też wino jest zwykłym napojem tak bogatych jak biednych mieszkańców prowincyi słowiańskich. Rasa słowiańska jest daleko silniejsza, mocniejsza i piękniejsza od niemieckiej, zbytecznie ociężałej od nadmiernego używania piwa.

Jak mieszkańcy tak i kuchnia wiedeńska jest międzynarodowa, najlepsze restauracye znajdują się w hotelach. Nie ma w nich tak zwanego *table d'hôte* tylko *à la carte*. Najpierwsza jest restauracya Sachera naprzeciw Opery. Kuchnia wiedeńska celuje najwięcej tak zwanemi *mehlspeisen*, których niezliczoną wyrabia rozmaitość.

Wiedeńczycy obiadują od pierwszej do trzeciej, a wieczerzają od siódmej do jedenastej. Teatra kończą się o dziesiątej, kolacya następuje po nich. Wtedy to piwiarnie i restauracye napełniają się konsumentami, gdyż Wiedeńczyk który żonę i dzieci zaprowodził do teatru, ulegając tradycyjnym zwyczajom uczęstowania ich potem w restauracyi, opłaca przyjemność podwójnym wydatkiem.

VII.

Otóż znów wracam zkąd wyszedłem, i jestem w środku miasta, na placu Ś. Szczepana, gdzie tyle nagromadziło się pamiątek. W tej to starożytnej bazylice, jednej z najpiękniejszych w całych Niemczech, Karol VI, drugi syn cesarza Leopolda, został ogłoszony królem Hiszpanii, Kastylii i Arragonii. Miał wtedy lat dziesięć; a gdy przybył do Anglii, jadąc zdobywać swoje dziedzictwo, królowa Anna nie mogła się wydziwić prześlicznym jego blond włosom, spadającym w bujnych lokach na jego ramiona.

O trzydzieści kroków od katedry Ś. Szczepana, między ulicą Karyntyi a Grabenem, zwraca uwagę dziwny pień drzewa, cztery do pięciu metrów wysoki, otoczony obręczą żelazną, zamkniętą na kłódkę. Pień ten jest cały nabity gwoździami, tak zachodzącemi jeden na drugi, iż tworzą one jakby żelazną korę.

To sławny *Stock in Eisen* (pień w żelazie) do którego przywiązana jest ciekawa legenda. Oto co ona opiewa.

Około środka XV-go wieku, to jest w 1450 r. stał na placu Targowym stary, poczerniały dom, niemal odrażającej powierzchowności; od wschodu słońca aż do późnej nocy, słupy dymu unosiły się po nad jego dachem. Odgłos młotów uderzających o kowadło, skrzyp pił, gorący dech dwóch miechów, syczenie ogromnego ogniska, wszystko to sprawiało piekielny hałas, prawie wstrząsający gruntem.

Dom ten należał do Erhard'a Marbacher, najpierwszego ślusarza w Wiedniu.

Jegomość Marbacher był sobie otyły, rumiany, miał nos spłaszczony i żywe, świecące oczy. Słynął głośno z wyrobów z kutego żelaza a ślusarstwo podniósł do godności sztuki. Gdy się pokazał na progu swego warsztatu, w skórzanym fartuchu, z odwiniętemi rękawami, z rozpiętym kołnierzem od koszuli, a ręce i twarz miał czarną od dymu, wyglądał na hippopotama wyszłego z rzeki dla odetchnienia powietrzem. Erhard był dobrym majstrem; pracował o ile mu tylko tusza dozwalała, czeladnicy i chłopcy kochali go bardzo; w razie potrzeby umiał być surowym, ale zawsze był dobrym i łagodnym.

Obok domu majstra ślusarskiego znajdowała się piekarnia. Marbacher lubił pogawędzić po skończonej pracy, to też często zachodził do sąsiadki, siadał na worku mąki i rozmawiał wesoło. Piekarka Greta Mux, była wdową. Miała dwóch synów, a choć obu wychowywała w bojaźni Bożej, starszy, chłopak ośmnasto-letni, martwił ją bardzo swojem postępowaniem i budził niepokój o przyszłość. Był nieposłuszny i nie chciał pracować. Dla strapionych wielka to ulga gdy się mogą użalić i wypowiedzieć co im leży na sercu; to też nieszczęśliwa matka narzekała na swoją smutną dolę przed swoim przyjacielem.

Pewnego razu gdy majster Erhard przyszedł w weselszem jeszcze niż zwykle usposobieniu, biedna wdowa płakała rzewnemi łzami; zły syn zapomniał się do tego stopnia iż śmiał jej wygrażać.

— Nie płaczcie matko, rzekł rozrzewniony ślusarz, jeśli się zgodzisz na moją propozycyą, przyrzekam ci że z twego syna zrobię dobrego i uczciwego rzemieślnika.

— Ach! majstrze Erhardzie, niech cię Bóg nagrodzi za tę myśl poczciwą, odrzekła wdowa ocierając oczy fartuchem.

— Słuchajcież co powiem.

— Słucham jak najuważniej, odrzekła Greta, i kładąc łokcie na stole wsparła na nich głowę.

— To rzecz prosta, jak dwa a dwa cztery: ty sąsiadko, przyjmiesz do siebie mego siostrzeńca aby się uczył piekarstwa, a ja wezmę twego syna i wyuczę go ślusarki. Prosta zamiana, nic więcej. Czy zgoda?

— Z całego serca, zawołała wdowa wstając i ściskając podaną sobie rękę. Ale musisz, sąsiedzie, być dla niego bardzo surowym.

— O! bądź spokojna, sąsiadko, dam sobie radę, poskramiałem już nieraz gorszych od Marcina. Młody jeszcze, choćby był żelazny, przekuć go można.

Do słów tych dołączył ruch tak wyraźny, iż zupełnie uspokoił biedną kobiecinę.

— Niech się dzieje wola Boża! odrzekła, i rozeszli się.

Nazajutrz przybył uczeń do warsztatu majstra Marbachera: Marcin stał przed kuźnią zły i kwaśny, robiąc miechem wbrew swojej woli, w końcu jednak przyzwyczaił się a nawet polubił swoje rzemiosło i pracował gorliwie; zdawało się że zrozumiał nareszcie iż jeśli kto chce się dorobić czegoś, musi pracować i sam pomagać sobie.

Piekarka radowała się niewymownie; wierzyła że tę szczęśliwą zmianę zawdzięcza odprawionej do Ś. Antoniego nowennie. Marbacher ze swej strony chełpił się ze swego dzieła; próżniaka zamienił w pracowitego terminatora. Pewnego dnia, po południu przywołał Marcina:

— Mój chłopcze, rzekł mu, weź ten cebrzyk i przynieś mi gliny której potrzebuję do odmodelowania głowy smoka; znajdziesz ją na skraju lasu Sichenhaus, za bramą Ś. Jerzego. Tylko nie bałamuć się żebyś wrócił wcześnie; u mnie nie wolno latać po nocy.

Marcin poszedł, przyrzekłszy że wróci wcześnie.

Dzień był piękny, wiosna jaśniała w całym blasku; zdawało się że niebo całe pokryte jest błękitną osłoną, wśród której błyszczy słońce niby tarcza brylantowa; różnorodne kwiecie rozścielało się po łąkach, motyle latały jak zakochani błąkający się wśród lasu. Było to w końcu kwietnia; Marcin nie wychodził przez całą zimę, gdy świeżem odetchnął powietrzem zdawało mu się że i jemu wyrosły skrzydła, czuł się tak lekkim, jak ptaszek; to też zamiast iść prostą drogą, długo biegał po polach. dość że była już czwarta gdy doszedł nareszcie na brzeg lasu. Gdy napełnił gliną przyniesiony szafel, było jeszcze zupełnie widno, szczyty katedry i wieżyce miasta rysowały się jasno pod błękitem nieba; postawił sobie szafel na głowie i odszedł pogwizdując. Droga szła przez mały plac osadzony lipami, na którym chłopcy grywali zwykle w piłkę; gdy Marcin nadszedł ujrzał w gromadce wielu dawnych towarzyszy i nie mogąc oprzeć się chęci zabawienia się z nimi, postawił szaflik pod drzewem a sam chwycił za piłkę. Przez pracę wyrobił w sobie siłę muskularną; nikt tak zręcznie nie rzucał i nie łapał piłki, cóż kiedy upojony tem powodzeniem nie zwrócił uwagi że słońce zachodzi i że powinien wracać.

W tem dźwięk dzwonu rozległ się w powietrzu, a monotonny i smutny jego odgłos, podobny był do krzyku nocnego ptaka. Chłopcy zaprzestali się bawić, nasłuchiwali przez chwilę, poczem pobiegli co tchu, w kierunku najbliższej bramy.

Dzwon ten zwiastował zamknięcie bram miasta. Sama myśl że mógłby się spóźnić niewymownym strachem przejęła Marcina, machinalnie poszedł za towarzyszami; w tem zatrzymał się nagle, z pośpiechu zapomniał zabrać szafla z gliną. Zawrócił się zaraz, a choć obawa gniewu majstra dodawała mu skrzydeł, nie mógł odzyskać straconego czasu. Słyszał wyraźnie skrzyp zawias i zamykanie bramy Ś. Jerzego, a gdy nareszcie zadyszany i oblany potem dobiegł do zwodzonego mostu, strażnik wyjmował klucze z zamku. Prosił, błagał, nie odpowiedziano mu nawet.

Noc zapadła, coraz czarniejsza ciemność roztaczała się do koła, zdawało się iż jakiś niewidzialny pędzel, zasmarował atramentem niebo, ziemię, pola, miasto i otaczające wały. Marcin usiadł na kamieniu płacząc rzewnie; myślą przenosił się do jutra; w którem miał być obity i wypędzony.

Wtem nagle księżyc wysunął się z po za chmur go przysłaniających, rozpłakany terminator podniósł głowę i zadrżał z przestrachu ujrzawszy przed sobą jakąś szczególniejszą postać.

Był to mężczyzna chudy jak szkielet, miał żółte oczy, nos zakrzywiony jak dziób jastrzębia, czarne wąsy i brodę śpiczasto obciętą; na głowie beret aksamitny z czerwonem piórem, które błyszczało i falowało jak gorejący płomień; haczykowatemi palcami trzymał brzeg płaszcza wlokącego się po ziemi; za czerwonym pasem zatknięty był sztylet z rękojeścią ze słoniowej kości.

Marcin chciał zerwać się i uciec; ale nieznajomy postrzegłszy jego poruszenie, zbliżył się i rzekł kładąc mu poufale rękę na ramieniu:

— Nie płacz, chłopcze; złemu jakie cię spotkało łatwo zaradzić można.

— Oto jest co otwiera wszystkie zamki. I wyjął z kieszeni woreczek skórzany który sam się otworzył, wyjął z niego jeden cekin, dmuchnął i tenże zamienił się w dziesięć sztuk złota.

— Oto masz, rzekł, dając Marcinowi garść złota, zadzwoń niem tylko koło uszu strażników, a przy-

sięgam na moją brodę, że usłyszą i zrozumieją tę muzykę.

Marcin ochłonął z przerażenia, nie uspokoił się jednak zupełnie gdyż zdawało mu się że to złoto pali mu dłonie.

— Nigdy jeszcze nie widziałem tyle złota, wyszeptał.

— U mnie go nigdy nie zbraknie, jak wydasz, przyzwij mnie tylko a znów ci go dostarczę.

— Jakże mam przyzwać?

— Zawołasz tylko trzy razy: Raab-Rebek-Kwardek! a zaraz się stawię.

— Czemże się odwdzięczę za takie dobrodziejstwa?

— Mała rzecz; porachujemy się jak umrzesz.

— Jak umrę?

— No tak, przekażesz mi twoją duszę, odrzekł od niechcenia.

— Dusza moja należy do Boga, nie mam prawa nią rozporządzać, odparł żywo Marcin.

— Ha! ha! ha! zawołał nieznajomy, wybuchając ostrym śmiechem, czy sądzisz że ją oskubię jak gołębia?... Więc wierzysz w te banialuki wymyślone przez mnichów? Czy masz nadzieję dostać się do nieba i dla tego dajesz mi tak nie mądrą odpowiedź?

— A jakże, odrzekł z prostotą.

— Ha! ha! ha! zaśmiał się nieznajomy, wszyscy oni jednakowi! Wyobrażają sobie że niebo jest przybytkiem jakichś niewysłowionych rozkoszy!... Byłem ja tam kochanku i nie mogłem wytrzymać. Tam trzeba żyć jak kwiaty tylko powietrzem i światłem, nigdy nie zobaczysz ani kawałka szynki ani butelki wina; tam życie takie nudne i monotonne jak litania. Ileż to razy podpatrzyłem świętych anachoretów, jak wzdychali tajemnie i tęsknili za wodą źródlaną i korzonkami jakiemi żyli na pustyni! Jeźli przeciwnie, dodał ujmującym głosem, jeźli po śmierci ciała dusza twoja zechce pójść ze mną, zapewnię jej bezgraniczne rozkosze. Pałac w którym mieszkam jest z przepysznego marmuru, wznosi się po nad jeziorem na którem wyprawiam nocne uczty; w mojem państwie zabawy i bale następują jedne po drugich, dusze przybierają dotykalną postać, a odmłodzony kochanek odnajduje swą kochankę zdobną w dziewicze wdzięki... No, cóż, zgadzasz się?

Marcin siedział z pochyloną głową, jakby podbity tak przekonywającą namową.

— Czy chcesz, dodał nieznajomy, aby wszystkie drogi stanęły dla ciebie otworem, aby imię twoje stało się sławnem, a serce nasyciło się miłością? Czy chcesz wynieść się po nad swego majstra i posiąść wiedzę dobrego i złego?

— Tak, ale pod jednym warunkiem, odrzekł Marcin przytłumionym głosem; dusza moja wtedy dopiero do ciebie należeć będzie, jeśli choć raz w życiu z mojej winy nie będę na całej Mszy w niedzielę.

— Niech i tak będzie, dobry ze mnie dyabeł, zgadzam się na ten warunek. Podpisz ten cyrograf.

I podał mu pargamin, a że było ciemno, dmuchnął na swoje palce, i te zajaśniały jakby pięć świec, a ślusarczyk który przed godziną nie umiał pisać, teraz wyraźnie podpisał swoje nazwisko. Wtedy piekielne światło zagasło, nieznajomy zniknął.

Marcinowi zdawało się że z jakiegoś złego snu się przebudził; głowa ciężyła mu kamieniem, powieki opadały, oddychał z ciężkością, nogi mu zesztywniały. Słyszał jednak że pieniądze dzwonią w jego kieszeni. Stanął przed bramą miasta; na dźwięk pieniędzy które trzymał w ręku, głos jakiś odezwał się zaraz: „Idę, idę“ i za minutę ślusarczyk był w Wiedniu a w kwandrans kładł się do łóżka nie przebudziwszy nikogo. Nazajutrz majster nie łajał go wcale; widział go wracającego przed zadzwonieniem, widział go siedzącego na swojem miejscu przy wieczerzy, widział że poszedł spać o zwykłym czasie; ma się rozumieć była to sprawa dyabła.

We dwa dni później, spotkany przez Marcina nieznajomy wszedł do warsztatu Marbachera, przedstawiając mu się za pana dworu cesarskiego.

— Mam polecenie, rzekł, obstalować u pana majstra obręcz żelazną na ruchomych zawiasach, z kłódką którejby żadna siła ludzka nie mogła otworzyć.

— Żądasz pan rzeczy nad którą muszę się dobrze zastanowić; to zadanie nadzwyczaj trudne... kłódka którejby żadna siła ludzka nie mogła otworzyć... Strasznie ciężka to sprawa.

— Jest to konieczne, rzekł nieznajomy.

— A czy to pilno potrzeba?

— Bardzo pilno.

— W takim razie nie mogę się podjąć tak trudnej roboty, wymagającej długiego namysłu i nader trudnej do wykonania.

— Eh! panie majstrze, cóż to za odpowiedź! założyłbym się że między twymi robotnikami znalazłby się taki coby potrafił wykonać tę robotę.

Usłyszawszy to Marbacher aż się zmienił, a nieznajomy którego kozia broda ruszała się złośliwie, zwrócił się ku czeladzi i uczniom.

— Czyż między wami, rzekł, nie ma ani jednego, któryby potrafił zrobić zamek któregoby nie zdołała otworzyć żadna siła ludzka?

Nastała chwila milczenia, nikt nie odpowiedział.

— Cóż, nikt się nie odezwie? zapytał udany pan dworski.

Widząc że wszyscy milczą, Marcin wysunął się śmiało i rzekł stanowczym głosem:

— Ja się podejmuję tej roboty.

Marbacher sądził że ziemia rozstępuje się pod nim.

— Co! ty się tego podejmujesz, Marcinie, rzekł, ty najmłodszy z moich uczni, ty chcesz wykonać czego ja, twój majster zrobić nie mogę!... Zakazuję ci...

— A ja ci rozkazuję wziąść się do tej roboty, rzekł nieznajomy, tak imponującym głosem, iż Marbacher nie śmiał nic odpowiedzieć, pochylił głowę i zamilkł.

— Przyjdę za sześć dni, dodał nieznajomy, majster Marbacher dopilnuje żeby robota była skończona.

Zaraz wieczorem Marcin wziął się do pracy; zaczynało świtać a on siedział pochylony nad drewnianą deską, rozmyślając, probując, kombinując, wymyślając mechanizm i sprężyny dotąd nieznane.

Ale nic wymyśleć nie mógł; nakreślone linie podobne były do poplątanych nici, nadszedł wieczór, nareszcie noc zapadła, żaden pomysł mu nie przyszedł. Majster Marbacher udał się na spoczynek nieco spokojniejszy, i zasnął myśląc sobie: „Nie uda mu się.“

Około drugiej w nocy; młody uczeń znużony zasnął na krześle; miał sen szczególny. Śniło mu się że zwiedzał jakiś starożytny zamek nad wybrzeżem Adryatyku, należący do pewnego morskiego rozbójnika, który zgromadził w jego salach wszelkie zamki i kłódki ze zrabowanych przez niego pałaców i zamków. Były tam zamki weneckie, neapolitańskie, tureckie, hiszpańskie, francuzkie; Marcin nie mógł się dość wydziwić wybornym sprężynom, które za najlżejszem dotknięciem poruszały się jak palce u ręki, otwierały jak paszcze gadzin, chwytały jak szpony ptaków. Szczególniej zwracał jego uwagę jeden zamek w kształcie pająka, którego mechanizm tak był skomplikowany jakby werk zegarka. Przypięta do niego kartka wskazywała, iż kazał go zrobić pewnemu czarnoksiężnikowi Otton Haslau, do drzwi wieży w której zamknął niewierną swoją małżonkę. Klucz był to istny klejnocik, wyrabiany *à jour* jak najdelikatniejsza koronka. Marcin zdjął rysunek tego zamku; jak tylko skończył posadzka sali rozstąpiła się pod nim i upadł na wznak. To wstrząśnienie go obudziło. Słońce pełnym blaskiem oświetlało jego pokój a złote jego promienie padały na rysunek cudownego zamku, który, jak mniemał, tylko śniło mu się że rysował. Przesunął ręką po czole chcąc się przekonać czy rzeczywiście się przebudził; poczem zabrawszy deseczkę zszedł do warsztatu i zaraz zabrał się do roboty. Wykonanie poszło łatwo; gdy we trzy dni potem nieznajomy przyszedł do zakładu Marbachera zapytując z szyderskim uśmiechem co robi uczeń jego Marcin, tenpostąpił ku niemu, trzymając w ręku żelazną obręcz wraz z tajemniczą kłódką.

(*d. c. n.*)

Kronika paryzka

z życia społecznego, nauk, sztuk i literatury.

przez K. G.

Pan Leon Rousset, rozpoczął w szkole nauk politycznych w Paryżu, wykład historyi stosunków politycznych i handlowych narodów europejskich z ludami krańcowego wschodu. W lekcyi wstępnej, wytłomaczył on znaczenie kwestyi chińskiej, przestraszającej wielce Amerykanów i mieszkańców Oceanii a zagrażającej z kolei i ludom europejskim. Wyrażona obawa wynika, jak obecnie, głównie ze względów ekonomicznych. Robotnicy chińscy są pracowici, oszczędni i mają potrzeby nadzwyczaj ograniczone, tak że trzecia część zwykłej płacy w Ameryce lub Europie jest dla nich zupełnie wystarczającą. Ojczyzna ich przeludniona nie daje im utrzymania, to też wielkiemi gromadami szukają zarobku w innej stronie osiedlając się jak obecnie w Ameryce i Oceanii. W wielu miejscowościach tych dwóch części kuli ziemskiej stanowią oni czawartą, trzecią, a nawet połowę ludności, chociaż emigracya zaczęta została zaledwo od lat kilkunastu. W najbardziej oddalonych stronach przechowują jak najtroskliwiej język, obyczaje, ubiór, zawierają związki małżeńskie jedynie pomiędzy sobą i prócz stosunków zarobkowych, nie mają żadnych innych z mieszkańcami różnego od nich pochodzenia.

Amerykanie patrzą z trwogą na zwiększające się tłumy chińczyków, ze względu jednak na wyznawane przez siebie zasady wolności, nie użyli dotychczas żadnych środków zapobiegających. Władze rządowe w Oceanii przybrały w tej mierze śmielszą postawę, czyniąc zawisłą liczbę przywożonych Chińczyków od ilości towaru znajdującego się na okręcie.

Stosunek raz oznaczony nie może być przekroczonym, a prócz tego wzbroniono przywozić kobiety aby dać początek rodzinom mieszanym. Wielcy jednak kapitaliści starają się obchodzić ustawy wydane w tej mierze, tani i pracowity robotnik jest dla nich wielce pożądanym. Z tego jednak względu wynika niełatwa do rozwiązania kwestya ekonomiczna, gdyż robotnicy rasy białej pozbawieni zarobku stawieni będą w najprzykrzejszem położeniu. Zniżyć płacę niepodobna, bo ta zaledwo wystarcza na pokrycie niezbędnych potrzeb. Rasa żółta posiada zaiste

większą siłę trawienia: wyżywi ciało odrobiną ryżu, a robotnik europejski karmiony w ten sposób umarłby niewątpliwie z głodu.

W wielkiem przesileniu amerykańskiem, gdzie setki tysięcy robotników zostaje bez chleba, wpływ Chińczyków nie jest bez znaczenia. Gdyby nie obawa wojny domowej, to już wszystkie prace większe byłyby im powierzone. W Anglii nawet, w czasie przerwy w ruchu fabrycznym z powodu zmowy robotników, poruszoną była przez kapitalistów myśl sprowadzenia chińczyków, ale nie śmiano tego uskutecznić, aby nie ściągnąć gromów opinii publicznej. Z drugiej jednak strony los tego ludu nie może być obojętnym dla szczerych przyjaciół ludzkości. Europa i Ameryka, w widokach korzyści handlowych, przemocą wdarły się do Chin i Japonii, a tem samem przyjąć muszą i następstwa raz zawiązanych stosunków. Wszelkie zapory zmierzające do powstrzymania emigracyi na nic się nie zdadzą, jeżeli ta wywoływaną będzie przez siłę większą. Taki stan właśnie ma miejsce w Chinach; w tej mierze przytaczamy wyjątek z pism amerykańskich.

„Wedle nowo otrzymanych wiadomości w mieście Tien-Tsin wydarzył się wielki pożar. Z powodu ogólnego głodu panującego w Chinach, kilka tysięcy zgłodniałych zbiegów znalazło schronienie w domu przytułku w tym celu przygotowanym. Dom ten spalił się w nocy i z trzech tysięcy jego mieszkańców zaledwo sto osób było ocalonych. Panujące zimna przyczyniają się do zwiększenia ogólnej niedoli. Wielu nieszczęśliwych zostaje bez najmniejszego schronienia i zamiera na placach i drogach publicznych. Udzielana pomoc jest niewystarczającą z powodu wielkiego napływu potrzebujących. Zgłodniali rodzice sprzedają setkami dzieci swe za nędzną garść ryżu. W wielkich miastach chińskich śmierć z głodu kobiet i dzieci wywołała wzburzenia ludowe a nawet kilku urzędników wyższych było zabitych."

W takiem położeniu rzeczy emigracya chińska jest nieodzowną i nie potrafią jej powstrzymać wszelkie zapory zewnętrzne.

Byłoby do życzenia aby mężowie stanu i wielcy kapitaliści zwrócili uwagę na obecny stan Chin. Puszcze Ameryki, Afryki i Oceanii, na wiele jeszcze wieków wystarczą dla osiedlania żółtej rasy, a umiejętnie użyte w tej mierze środki zabezpieczą Europę od nowej wędrówki ludów azyatyckich, tyle groźnej dla cywilizacyi.

W roku 1817 w chwili zaprowadzenia oświetlenia gazowego w Paryżu, zwolennicy oliwy i innych wyciągów tłustych, stawiali opór zacięty wykazując tak niebezpieczeństwo jakoteż liczne niedogodności wynikające z nowego wynalazku. Chcieli oni prawie przemocą utrzymać dawny porządek rzeczy, nie przypuszczając żadnej zmiany we zwyczajach trwających od wielu wieków. Tak jak jednak w wielu innych względach tak i w tym, stronnictwo zachowawcze zniewolonem było do odwrotu, a zwycięzki gaz pozyskał prawo obywatelstwa już nietylko w wielkich ale w najmniejszych miasteczkach, zarówno w zakładach publicznych ale i po domach prywatnych. Wedle jednak przysłowia francuzkiego, ostateczności stykają się i często największe powodzenie zagrożone jest nagłym upadkiem. Zwolennicy więc gazu a szczególnej jego akcyonaryusze zostają obecnie w tem położeniu; można do nich zastować inne znowu przysłowie polskie, o fortunie toczącej się kołem. Jednem słowem oświetlenie gazem zagrożone zostało przez oświetlenie elektryczne, które przeszło z pola teoryi na pole wykonania jak tego dowodem są w Paryżu niektóre dworce kolei żelaznej, plac opery i liczne dosyć fabryki i zakłady publiczne. Nowy wynalazek przedstawia wiele korzyści, bo wypada taniej o jedną trzecią część od gazu, a stosunek ten będzie jeszcze zwiększonym przy większem elektryczności upowszechnieniu. Na oświetlenie bowiem dziesięciu lub stu metrów a nawet więcej, wydatek jest prawie jednakowy. Nadto, co rzeczą jest niezmiernie ważną, że nie zanieczyszcza i nie ogrzewa powietrza nieulegającego, przy największej nawet liczbie świec elektrycznych, żadnej zmianie.

Siła zaś jego jest tak wielka, że nawet zbyt silne działanie było długi czas niedogodnością trudną do przezwyciężenia. Jeden z fizyków niemieckich wpatrując się długo w tak nazwaną tęczę elektryczną utracił wzrok, ale udoskonalenia dokonane w ostatnich czasach, zdołały już ująć w karby za zbyt żywe działanie światła elektrycznego, które jedynie może być porównanem ze światłem słonecznem a tem samem i jego odbiciem wieczornem za pośrednictwem księżyca, jako posiadające wszystkie pierwiastki składowe tworzące w połączeniu biały kolor. Przy oświetleniu więc tego rodzaju barwy różnorodne nie ulegają zmianie ale jak pod czas dnia tak i wieczorem przedstawiają się w jednej i tej samej postaci.

Pierwszą myśl do tego wynalazku powziął Humphry Dawy w czasie odbywanych przez siebie doświadczeń fizycznych. Dwa węgle zokończone ostro jak ołówki poddał pod działanie stosu Volty, a później rozdzieliwszy takowe zobaczył wytworzone światło przypominające zwykłą tęczę na niebie. Obydwa końce rozpalone są do białości, jeden koniec cienieje a drugi grubieje, uzyskany zaś stopień gorąca jest ogromny, bo platyna topnieje tak łatwo jak masło stawione na mocnym ogniu. Ponieważ węgle zużywają się wolno, wypadało więc takowe ciągle zbliżać ku sobie dla utrzymania jednostajnego światła. Początkowo trzeba było dokonywać tę czynność za pośrednictwem ręki człowieka, następnie wynaleziono ruch automatyczny, a nareszcie zniewolono sam prąd elektryczny do zostania w tej mierze odpowiednim motorem. W tym jednak stanie wynalazek nie mógł być zastosowanym do ogólnego użytku, bo potrzebował stosów Volty wielkiej mocy a tem samem pracownia fizyka była dla niego miejscem jedynem. Dopiero w roku 1832 Faraday zrobił odkrycie niesłychanej wagi, będące podstawą tak dzisiejszego oświetlenia elektrycznego jakoteż i słynnego telefonu Bell'a. Żelazo dotykając magnesu owiniętego w druty miedziane i pokrytego materyą jedwabną, wywołuje prąd elektryczny biegnący w odwrotnych kierunkach odpowiednio do zbliżania lub oddalania dwóch ciał wzmiankowanych. Obecnie w Paryżu maszyny parowe poruszają przyrząd elektro-magnetyczny: otrzymane światło zręcznie rozdzielono na drobne odłamy w rodzaju satelitów lub gwiazd, działanie więc głównego ogniska jest zmiejszonem i światło więcej jednostajnem.

Jeszcze oświetlenie elektryczne nie doszło do ostatecznego swego udoskonalenia, a już sprawozdania naukowe opisują nowy wynalazek, prócz innych korzyści, mogący pogodzić naukę z tradycyą biblijną o Jozuem. Chodzi tu ani mniej ani więcej tylko o zatrzymanie słońca a raczej jego promieni, przez odbicie reflektorów ustawionych w miejscach odpowiednich. Tym sposobem tak w dzień jakoteż w nocy mielibyśmy słońce po nad naszemi głowami, żartując ze wszystkich oświetleń inszych choćby najdokładniejszych.

Myśl zaiste wielce oryginalna, a nie można powiedzieć aby była niepodobną do wykonania, w obec tylu cudownych innych wynalazków.

W dniu 11 Marca posiedzenie akademii nauk ścisłych w Paryżu, wbrew zwykłej powadze panującej dotąd w zgromadzeniu, ożywiło się oklaskami, śmiechem i okrzykami podziwu. Pan hr. Moncel przedstawił w zebraniu pierwszą „*maszynę mówiącą*" czyli tak nazwany Fonograf Edissona, będący niezaprzeczenie najciekawszem zjawiskiem współczesnem. Przyrząd ten słucha rozmowy z nadzwyczajną uwagą, notuje wszystkie jej szczegóły jak najdokładniej i powtarza ją dowoli naśladując do złudzenia dźwięk głosu mówiących, ich akcent, najdrobniejsze szczegóły właściwej im wymowy. W wielu miejscach słuchacze byli tak zadziwieni iż uwierzyli raczej w mistyfikacyą aniżeli w rzeczywistość wynalazku, przypuszczając w przedstawiającym przyrząd talent brzuchomówstwa.

Wymiary maszyny mówiącej są wcale niewielkie. Ma ona najwyżej metr długości a dwadzieścia centymetrów szerokości. Ustawioną była w sali akademii na nie wielkim stoliku, obok którego pomocnik pana Edissona usiadłszy wymówił głosem wyraźnym:

— Dzisiejsze przedstawienie twe w akademii nauk ścisłych, fonograf uważa za wielki zaszczyt dla siebie.

Nastąpiła największa cisza w zebraniu. Pomocnik wprowadził w ruch maszynę i ta powtórzyła głosem wyraźnym to co zostało wymówionem.

Ogólne oklaski były odpowiedzią na usłyszaną grzeczność.

Pomocnik Edisson'a jest Amerykaninem, mówi dobrze po francuzku, ale zawsze z pewnym akcentem cudzoziemskim: maszyna z dokładnością fotograficzną powtórzyła wszystkie błędy wymowy. Jeden z członków akademii krzyknął z uniesieniem.

— To niepodobna aby maszyna mówiła, tu musi być jakiś brzuchomówca.

W czasie przepływu z Ameryki do Europy, fonograf stanowił wielką rozrywkę dla podróżnych i zostając w ciągłym ruchu prawdopodobnie straciłby głos z wielkiego wysilenia, gdyby był istotą żyjącą. Ku wielkiej uciesze zebranych powtarzał rozmowy słyszane w Nowym Yorku przed swoim odpływem do Europy. Jeden z obecnych pragnąc popisać się z posiadanym przez siebie pięknym głosem, odśpiewał, *God save the Queen* ale zabrakło mu siły w tonach wysokich i skończył nizko czyli najfałszywiej. Nieubłagany fonograf pochwycił błąd i śpiewając z kolei zrobił tę samą omyłkę jak najdokładniej, co wywołało nadzwyczajne śmiechy w zebraniu. Dla wypróbowania siły przyrządu, stawiono obok niego papugę. Początkowo z zadziwieniem słuchał ptak powtórzone dźwięki przez siebie wydane; niedługo jednak rozgniewany wydobywał z piersi najdziksze krzyki, ale fonograf nie ustąpił kroku i wytrwał mężnie na stanowisku. Powstała z tego względu nadzwyczajna wrzawa i wypadało aż rozdzielić równej siły napastników.

Przyrząd fonografu ma wielkie zbliżenie z telefonem, bo posługuje im obydwom jedna i ta sama podstawa. Prąd elektryczny wytworzony przez zetknięcie żelaza z magnesem jest głównym motorem działania. W telefonie jednak prąd ten wystarcza sam w sobie a w fonografie potrzebną jest jeszcze ręka ludzka. W maszynie więc mówiącej blaszka żelazna ulegająca najlżejszemu ruchowi powietrza umieszczoną jest przy otworze przyrządu; w środku niej znajduje się mały sztylecik oparty na zwoju miedzianym czyli cylindrze leżącym horyzontalnie. Zwój ten wzniesiony jest na pewnego rodzaju łodydze ruchomej obracającej się za pośrednictwem małej korby. Skoro maszyna słucha, to wzmiankowany sztylecik znaczy linijkę ukośną na blaszce cynowej. Skoro zaś chcemy aby mówiła to odwija się zwój na swe miejsce pierwotne, a sztylecik opartym jest na początku wyrytej linijki. Maszyna wprowadzona w ruch oddziaływa na blaszkę ruchomą a ta powtó-

rzy tyle razy wiele chcemy wszystkie wyrazy zaznaczone na blaszce metalowej. Wynalazek ten zaiste jest cudownym a tem samem tajemniczym, bo wkracza w dziedzinę sił, których znamy niektóre objawy, ale których istoty nie potrafimy jeszcze oznaczyć.

(*d. c. n.*)

Korespondencya z Włocławka.

Nadwiślańska ta sadyba o ile wiemy dawnych sięga czasów, epoki wyrytej ciemnemi zgłoskami w dziejach kraju, gdy spadkobiercy Krzywoustego rwać zaczęli ojcowiznę dzieląc się nią jak ongi prześladowcy krzyża św. błogosławioną szatą Chrystusa. Na podzielonych skibach wielkiej ziemicy poważnieni bracia zakładać zaczęli wsie i miasta a Władysław II książę krakowski upodobawszy sobie glebę nadwiślańską założył Władysławów czyli dzisiejszy Włocławek. Tradycya niesie, że cząstka ziemi owej należała podówczas do znakomitej rodziny Skarbków zaszczyconej herbem Habdank w czasie wojen z Niemcami. Z czasów owych miasto nie zachowało pamiątek, być może zniszczyła je barbarzyńska prawica Tatarów i Szwedów. Do najdawniejszych zalicza się katedra biskupia zbudowana w stylu gotyckim a kilka domów nazwanych kanoniami i kamieniczki w rynku starego miasta, strukturą swoją przypominają wiek upłyniony. Lat temu niewiele bo z górą trzydzieści, jeszcze Włocławek był miasteczkiem mało zabudowanem a pryncypalna dziś ulica świeciła po części ciemnemi płotami i parkanami. W przeciągu tych lat miasto wzrosło z siłą zadziwiającą; p. Tournelle, były podówczas budowniczy powiatowy, kreślił plany i anszlagi, chałupy zamieniły się w kamienice, runęły omszone oparkanienia, padały stare drzewa ogrodów a w ich miejsce wyrastały z pod dłoni człowieczej dzieła architektury naszej swojskiej, ale dosyć pokaźnej.

Izraelici wystawili synagogę: styl jej kopulasto-bizantyjski jakoteż wewnętrzne urządzenie, mile świadczą o czci oddawanej Bogu przez tych których do naszego gniazda sprowadziła gościnna dłoń króla Władysława brata zabójcy biskupa Szczepanowskiego. W ostatnich latach miasto ożywiło się zaprowadzeniem kolei żelaznej, kupiectwo i handel poszły w górę, łany zaś na których przedtem żywą witaliśmy sielankę, dziś przedstawiają aleję wysadzaną drzewami, zabudowaną okazałemi gmachami i willami, jakie nas zachwycały w nadalpejskich okolicach. Malowniczą a pozostawioną dotąd w stanie natury jest dzielnica miasta Zamczem nazwana, w miejscu gdzie Wisła z Zgłowiączką się łączy, a prawdziwie estetyczny krajobraz przedstawia nam lesisto-górzysty Spethal, położony z drugiej strony po nad uroczemi wody oblubienicy Karpat, podążającej z lenniczkami swemi w objęcia bursztynowego Baltyku. Ustroń ową pełną konwalii, słowików i woni nazwano polską Szwajcaryą. Dawniej z daleka patrzyliśmy na wzgórza i lasy Spethala, bo polskiemi gondolami niewielka uciecha bujać po wodzie, ale gdy nad tą Wisłą stanął pan A. Osta... inżynier komunikacyi lądowej i wodnej, gdy niewyczerpany w pomysłach rzucił na nią most kołyszący się majestatycznie na kilkudziesięciu ozdobnych łyżwach, to poruszył się gród syna Bolesławowego, ożywili mieszkańcy połączeni z rozkosznemi gaikami i ogrodami, do których tak tęskni ścieśniona pierś mieszkańców miasta.

Po za filatropijną stroną miasta, którąśmy się już dawniej pochwalili, mamy niedogodności na które niech nam wolno będzie postękać głośno i poskarżyć się jawnie. Cóż nam z tego że miasto piękne i ludzie w niem dobrzy, że handel kwitnie, ale Boże odpuść, ten duch handlowy kością w gardle staje tym, co nie są w stanie uwzględnić owej frymarki przykro dającej się nam we znaki. Cóż nam z tego że mamy bulwar po nad Wisłą, na jaki nie stać inne miasta, że ten bulwar zasadzono kasztanami w miłej dla oczu symetryi, kiedy my z niego korzystać nie możemy, lubo stanowi jedyny punkt spacerowy włocławskiej publiki. Większa część jego wiecznie zastawiona setkami beczek napełnionych naftą i syropem, wyczekujących emigracyi berlinkowej do obcej krainy, odstręcza wyziewami, narażając szczególniej wieczorem na upadnięcie, lub złamanie karku, bo tajemniczym blaskiem przyświecające latarnie uliczne, najczęściej zupełnie skąpią niepewnego blasku swojego. W innej porze gdy lato w całym rozwoju, bulwar staje się zupełnie nieprzystępny jako zarzucony gromadami buraków wyprawianych do cukrowni. Dziwić się należy administracyi miasta, wyrządzającej podobną psotę mieszkańcom. Ładowanie berlinek śmiałoby się mogło odbywać poniżej szlachtuza, bo doprawdy szkoda naszego spaceru, drzewek młodych i drewnianych baryer.

Dorzucam jeszcze słówko do szanownych obywateli przypominając im, że darmo płacą stróżom swoim, bo nietylko dziedzińce ale i pierwszorzędne ulice pełne są błota i śmieci, a na chodnikach asfaltowych zalanych wodą i podziurawionych, widzieć można pomyje i skorupy. Porządek i świeże powietrze zabezpieczyć nas mogą od zagrażających chorób, a ostateczny rezultat życia ludzkiego, ów geniusz tak pięknie opiewany przez Schillera a po ziemsku Śmiercią nazwany, nie jest pożądany nawet w wieku ogólnej walki o byt...

Paulina Biernacka.

Przegląd literacki.

Cudzoziemcy w Polsce, przez Ksaw. Liskego. Lwów 1876. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta 8-vo str. 342.

(Dalszy ciąg).

Co się tyczy oddziału pruskiego w wojsku Jana Olbrachta, ucierpiał on mocno w klęsce bukowińskiej 26 października 1497 roku. Wprawdzie ta klęska nie była tak straszna, jak wystawia ją fantazya ludowa i późniejsze tradycye; pozostałe przysłowie historyczne „za króla Olbrachta wyginęła szlachta“ jest mocno przesadzonem, jak tego dowodzi nieliczny stosunkowo poczet szlachty tam poległej, który znajdujemy u heraldyków epoki zygmuntowskiej; wszelako tylna straż wojsk królewskich najwięcej ucierpiała w odwrocie, a z oddziału 140 Krzyżaków, którzy właśnie do tej straży należeli, mało kto ocalał. P. Liske kończy swój przekład Nakera następnemi słowy:

„Dla Krzyżaków ta wyprawa bardzo smutny koniec wzięła; mistrz umarł, pieniędzy dużo wydano, cały szereg rycerzy i panów zginął, reszta wróciła w smutnym stanie. Przytem całe postępowanie króla z wielkim mistrzem musiało robić i robiło najgorsze wrażenie“ i t. d. Mówi dalej pan L. że może lekceważące postępowanie Jana Olbrachta z mistrzem wpłynęło na wybór Tiefena-Fryderyka ks. saskiego, który nie chciał uważać się za hołdownika Polski. Nam się zdaje, że w tem już pan L. za daleko posuwa swoje wnioski i w ogóle bezwzględnie wierzy Nakerowi. Jego skargi na postępowanie Jana Olbrachta mogą być w większej części słuszne, ale już i w XV wieku byli, zwłaszcza między Niemcami, historycy fałszywi i przewrotni, a trochę z tych cech dostrzegliśmy i w relacyi Nakera. Z niektórych mianowicie ustępów tej relacyi nabraliśmy tego przekonania, że wprawdzie sam mistrz Tiefen był osobistością szanowną i chętnie spełnić chciał swój obowiązek wasala i rycerza, ażeby, jak wyrażał się w listach do króla, „zachować łaskę zakonowi,“ ale jego doradzcy, a w liczbie ich sam Naker, byli bardzo niechętni owej wyprawie i widocznie usiłowali cofnąć się lub wyprawę udaremnić. Nadto, wyprawa w 400 ludzi, z których na plac boju wysłano 140 — przedsięwzięcie to bardzo skromne i podobno Naker za wiele żądał dla takiej armii i względów i rozgłosu. Cokolwiek nawet zabawnie wyglądają te roszczenia, usprawiedliwione chyba tem tylko, że byli to Krzyżacy i Niemcy. Jan Olbracht dowodził wówczas tysiącami i w czasach wojennych nie mógł ciągle myśleć tylko o garstce Krzyżaków, przytem sobie niebardzo chętnych. Te uwagi przyszły nam na myśl — może błędnie — lecz wypowiadamy je tutaj od siebie: pan L., jak mówiliśmy, bezwzględnie wierzy Nakerowi i wypowiada uwagi zupełnie w jego duchu.

Drugim zabytkiem, jeszcze ciekawszym i daleko ważniejszym od pierwszego, jest relacya Ulryka Werduma z podróży po Polsce odbytej w latach 1670, 1671 i 1672. P. Liske wyjął ją z czasopisma niemieckiego zeszłego wieku p. n. Johann Bernoulli's, Archiv zur neueren Geschichte, Geographie, Natur und Menschenkentniss. Werdum pochodził z Fryzyi i szukając szczęścia po świecie spotkał się w Gdańsku z księdzem Paulmiers jezuitą, który wysłany był potajemnie do Polski w celu przeprowadzenia kandydatury ks. Longueville do tronu polskiego i detronizacyi króla Michała. Wszedłszy do służby tego agenta, Werdum wraz z nim kilkakrotnie zwiedził wzdłuż i wszerz całą prawie Polskę i opisał przygody, wrażenia tej podróży i tajne zabiegi i intrygi swego pana. Z tego to względu relacya Werduma jest cennym przyczynkiem do dziejów „intrygi francuzkiej“ prowadzonej skrycie przez Ludwika XIV i partyą malkontentów polskich przeciwko królowi Michałowi. Dotychczas głównem źródłem do dziejów tej intrygi były listy Sobieskiego do żony, wydane przez Helcla, który nie znał relacyi Werduma, jak nie znał jej żaden inny historyk. Nawet o osobistości ks. Paulmiers głucho było dotychczas; znano tylko poprzedniego agenta, nazwiskiem Akakia, którego na żądanie dworów polskiego i cesarskiego, Ludwik XIV, udając że nie wie o niczem, kazał wsadzić do Bastylii. Dopiero z wydanych w Paryżu 1860 r. pamiętników markiza Pomponn dowiedziano się o istnieniu ks. Paulmiers, a u nas pierwsi o nim wspomnieli Mosbach w Bibliotece Ossolińskich z r. 1864: Morawski w IV tomie swojej historyi. Wszelako szczegóły misyi tego wysłańca nie były znane; dopiero relacya Werduma rzuca niemało nowego światła na niektore ciemne dotychczas punkta tej sprawy, zwłaszcza na udział Sobieskiego w knowaniach przeciwko Michałowi.

Zręczny ajent przebierał się rozmaicie, zmieniał ciągle nazwisko i tak podróżował po Polsce, wożąc ze sobą znaczne sumy pieniężne, przeznaczone dla pozyskania stronników: oddawna już niestety, zagraniczne dwory używały tego środka względem szlachty, a nawet i magnatów polskich. Najpierwiej Paulmiers z Werdumem udali się do Łowicza i do Łyszkowic (u autora błędnie Łysowic) dla narady z prymasem Mikołajem Prażmowskim, przywódcą partyi francuzkiej, a ztamtąd do Lwowa i Żółkwi, dla narad z Janem Sobieskim, marszałkiem i hetmanem w. koronnym. Werdum wylicza główniejszych stronników partyi francuzkiej w Koronie i na Litwie; z tych Jabłonowscy zachowywali się chwiejnie

i niestanowczo, a na Litwie silnem było jeszcze stronnictwo królewskie, podtrzymywane przez wielkiego kanclerza Paca, choć z drugiej strony Michał Radziwiłł hetman polny lit. pracował na korzyść Longuevilla. Wysłańcowi chodziło teraz głównie o to, ażeby doprowadzić do skutku konfederacyą wojska przeciwko Michałowi, a w tej sprawie najwięcej zależało od hetmana Sobieskiego; za nim też uporczywie gonił po całej Polsce Paulmiers. Sobieski zachowywał się ostrożnie i w przedmiocie konfederacyi oświadczył wysłańcowi, że nie nadszedł czas stosowny do jej zawiązania i radził mu wracać tymczasem do Gdańska. Nieprzyjaciele króla Michała wówczas byli nieco upadli na duchu: sam Sobieski w listach do żony, po części cyfrowanych, które wydał Helcel, powiada wyraźnie, że nie chce nic przedsięwziąć przeciwko królowi. Księdzu Paulmiers groziło nawet niebezpieczeństwo, gdyż Jabłonowski wojewoda ruski dał o nim znać królowi Michałowi, a ten wysłał oddział konny, ażeby schwytać ajenta. Uchodzili więc śpiesznie Paulmiers z Verdumem przez bezdroża i manowce, minęli się szczęśliwie z pogonią, a pomimo że król kazał na nich czatować przy wszystkich przeprawach przez Wisłę, umknęli przebrani, tajne depesze ukrywszy w bochenku chleba do Królewca, a ztamtąd do Gdańska. Tu siedzieli ukryci przez kilka tygodni, oczekując na rezultat komisyi na której rozpatrywano rozmaite zażalenia wojska. Niczego jednak doczekać się nie mogli, a na 6 listów ajenta do Sobieskiego nie otrzymano żadnej odpowiedzi i Sobieski pisał do żony, że wolałby zupełnie nie znać ks. Paulmiers. Postanowił więc śmiały ajent przedsięwziąć nową podróż przez całą Polskę i zrzuciwszy suknie duchowne, przebrał się ze swym towarzyszem po wojskowemu, udając oficerów hiszpańskich i ukrywszy depesze i kompromitujące papiery w maźnicy, puścili się w drogę na początku 1671 roku, znowu do Lwowa. Widział się tam z Sobieskim, ale z niczem odprawiony, jeździł za nim czas jakiś i siedział długo w Łowiczu u prymasa. Uradzono tu, ażeby udał się na Ruś do obozu. Zmienił więc znowu ajent nazwisko i począł udawać inżyniera, przybyłego z Kandyi w celu wzięcia udziału w wyprawie przeciwko Turkom i zdobył nawet list polecający z podpisem samego króla Michała, na imię kawalera Bardonini. Bezpieczny teraz od pogoni, ks. Paulmiers pojechał do Krakowa, potem do Lwowa, odbył z Sobieskim całą kampanią 1671 roku (której opisu w relacyi Werduma brakuje). Wędrował potem długo po Rusi, Ukrainie i Podolu, agitując między szlachtą i wojskiem, aż wreszcie w połowie 1672 r. stanął z Verdumem w Warszawie, gdzie wówczas miał odbywać się sejm. Tu już ostatecznie ks. Paulmiers, nie szczędząc pieniędzy (co mu głównie potem zarzucano we Francyi) ani obietnic, dopiął swego celu; znaczna część rycerstwa i panów, nawet i Pac niedawno jeszcze stronnik królewski, zgodziła się na obiór ks. Karola de Longueville królem polskim. Prażmowski i Sobieski, z upoważnienia stronników, wygotowali listy do ks. Longueville, zapraszając go do tronu, do ks. Kondeusza jego stryja i do Ludwika XIV. Ta część relacyi Verduma jest najciekawszą (w dziele p. Liskego str. 190 str. 191) gdyż stanowczo dowodzi, że detronizacya Michała już urzędownie podpisaną została i że Sobieski przeważną odegrywał w tem dziele rolę, o czem niektórzy historycy dawniej wątpili, przywiązując za wiele wagi do mniemanego pogodzenia się Sobieskiego z królem Michałem. Nieprzewidziany jednak wypadek udaremniał te wszystkie usiłowania, a tym była śmierć samego kandydata do korony, poległego w Niderlandach. Dowiedziawszy się o tem za pomocą własnej poczty tajemnej, wcześniej od Polaków, ks. Paulmiers z Verdumem pośpieszyli umknąć cichaczem z Warszawy, ażeby uniknąć niemiłych obrachunków ze stronnikami zmarłego księcia i dotrzymania hojnych obietnic. Uszli więc pokryjomu i dostali się do Gdańska w lipcu 1672 roku.

(d. n.)

OBRAZY
na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych
W WARSZAWIE.

Tandeciarz pana Lipińskiego, to wymowna illustracya czasów... w których żyjemy, niestety! Żyd z uśmiechem ogląda, wyjmując z worka, zakupione różnorodne przedmioty; jest tu pas słucki lity i żupan naddziadów, a handlarz dowcipkuje nad temi staremi szmaty... i sprzeda je znów, zamiast szychowego płatka, boć jeszcze świecą w nim złoto i jedwabie... Dobył też misę miedzianą, na dnie jest wyryty obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Obok niego, pomagając mu w klasyfikacyi zakupna, stoi rudy żydek i śmieje się, gdy doń stary zdaje się mówić:

— Patrzaj Lejzor, oto sajety, oto atłasy, teraz takich niedostanie. To po jednym takim wielkim staroście, co on już dawno umarł, a mnie jego wnuczek za rubelka dał te spuścizny. Aj! przyda się na zapusty, a może znajdzie się taki głupi co dla *pamiątków* kupi a mnie dobrze zapłaci. — Nu, bo co ten wnuczek, to onby i samego dziadunia sprzedał, żeby mu kto chciał dać *pieniądzów*.

A Lejzor śmieje się, a widz ze ściśniętem sercem odchodzi zadumany szepcząc: Ah! te pieniądze!...

Jeśli pod tym smętnym nastrojem zostając, poszukać zechce jakiej ulgi dla wyobraźni, niech uda się, kędy jest owa:

Wieś Smardzewo, pana Malinowskiego. Tu nad wodą, na łąkach, przy zachodzącem słońcu, wśród otoczenia skromnej a tak przecie wdziękiem bogatej, prostotą wdzięcznej natury, odetchnie, i orzeźwiony, uspokojony z najmilszem wrażeniem pójdzie na dalszą wędrówkę, obiecując powrócić jeszcze na spoczynku chwilę...

Stargane szczęście p. Majewskiej. Rzecz się dzieje w strojnym buduarze, gdzie również strojna dama brunetka, w żółto-szafirowej sukni nie grzesząca wytwornością gustu w tej malowanej dramie, zamierza z pomocą panny służącej przymierzyć ślubne stroje. Aliści, paź, chłopię bardzo niewinne, sądząc z porcelanowej jego twarzyczki bez wyrazu, przyniósł jej list, co w niwecz obraca przyszłość ułożoną, i *targa szczęście* damy brunetki, która ma już teraz tylko zamiar zemdleć, ale panna służąca i paź tak szeroko rozwarli okrągluteńkie źrenice, że w razie spełnienia faktu przekroczyłyby one niezawodnie granice orbitów. Co do nas, nie dziwimy się tak bardzo cofnięciu się czyjemuś w obec... damy tak przesadzonej, pretensyonalnej i niepowabnej pod żadnym względem... Opuszczamy ją i my bez żalu, niewzruszeni wcale.

Przed dzielnym typem *Mieszczki z Podgórza* p. Grabowskiego, z przyjemnością zatrzymujemy się, ze szczerą chęcią pogadania z gosposią, która nam robi wrażenie wcale *niemalowanej* ale żywej i sympatycznej postaci. A kiedyśmy się spotkali z Krakowianką, to i na okolice jej rodzinne, obejrzeć się warto; pan Malecki nam przedstawia dwa wdzięczne widoki: „*Skały z pod Krakowa*“ i „*Przedmieście.*“

Jeśli zaś czytelniku lekceważysz sobie wpływy wilgoci, to chodź do: *Lasu po deszczu* p. Wastkowskiego, w którym tak znać deszczową wilgoć i świeżość, że ludzie o bujnej wyobraźni, niezawodnie odchodząc lękać się będą czy ich katar lub reumatyzm nie schwyci, a ulegający złudzeniom poetycznejszem, sprobują napawać się wonnem powietrzem i otrząsać gałązki zielone z ich brylantowej rosy.

Opis ryciny kolorowej.

Dwa ubrania wizytowe. Obie suknie odrobione są podług jednej formy i składają się, ze spódnicy przybranej tunikowo i ze stanika z przodu przepasanego paskiem, idącym od boków a z tyłu mającego baskinę frakową. Suknia przedstawiona z tyłu jest z ciemno wiśniowego aksamitu i z popielatej materyi faille. Kapelusz z włoskiej słomki z szerokiem rondem odwiniętem z jednego boku, zdobny repsem, piórem białem i gałązką róży herbacianej. Druga suknia odrobiona jest z materyału wełnianego bronzowego i z jaśniejszej faille. Na głowie kapotka jedwabna tego co suknia koloru.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Rezedzie. Na nieszczęście i nadesłane wierszyki nie dadzą się użyć. W decyzyi artykułów nadesłanych łaska Redaktora żadnej nie odgrywa roli.

Panu Silwestrowi W. w Stowiszczy. Numer 12 wysłany powtórnie będzie, jeżeli adres wynaleziony zostanie.

Przyjaciela Dzieci Nr. 18 wyszedł z druku i zawiera:

Jezioro Bajkał (z drzeworytem) — Piętnastoletni kapitan (dalszy ciąg). — Łucznik strzelający (z drzeworytem). Wiosna (wiersz). — Walki Jana Sobieskiego. w Dodatku: Frank Osbaldyston.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 20 Апрѣля (2 Мая) 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.